

KLĘSKA SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA, ZWYCIĘSTWO „SOLIDARNOŚCI”...

Stan wojenny miał zniszczyć „Solidarność”, wymazać ją z pamięci polskiego społeczeństwa. Choć władzom PRL udało się zburzyć struktury legalnej „Solidarności” oraz szybko spacyfikować protesty społeczne w Warszawie, to jednak równocześnie wielu działaczy rozpoczęło działania organizacyjne w proteście przeciw stanowi wojennemu. Ich celem była dalsza walka o „Solidarność”, uwolnienie osób internowanych oraz skazywanych przez władze za działalność związkową. Jedną z nowo powstałych struktur podziemnej „Solidarności” w Warszawie był od kwietnia 1982 r. Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarności”.



Adam Borowski

Dzięki współorganizacji w 1982 r. niezależnych obchodów 1 Maja, a następnie wmurowaniu na pl. Zwycięstwa tablicy ku pamięci zabitych górników z kopalni „Wujek” komitet szybko zyskał popularność. Wreszcie 7 czerwca jako pierwszy – choć inne struktury podziemnej „Solidarności” też się do tego przygotowywały – MRKS przeprowadził udaną akcję uwolnienia spod straży SB ze szpitala przy ul. Banacha w Warszawie działacza „Solidarności” Jana Narożniaka. Nieco wcześniej, 26 maja, patrol milicji zatrzymał go na ówczesnym pl. Komuny Paryskiej (dziś Wilsona) do rutynowej kontroli. Jako znany działacz „Solidarności” (w listopadzie 1980 r. był jednym z zatrzymanych w głośnej sprawie ujawnienia wytycznych władz dotyczących zwalczania opozycji), obawiając się aresztowania, podjął ucieczkę i w jej trakcie został postrzelony w biodro i dłoń. Następnie przewieziono go do szpitala przy ul. Banacha i pozostawiono pod nadzorem milicji. Choć jednocześnie wydano decyzję o jego internowaniu, to jednak pozostał w szpitalu ze względu na stan zdrowia. Dzięki zaangażowaniu wielu ludzi dobrej woli pojawiła się perspektywa uwolnienia Jana Narożniaka.

Ze strony MRKS w akcji wzięli bezpośredni udział Adam Borowski, Jerzy Bogumił, Mirosław Radzikowski i Kazimierz Hinz. W przygotowania przedsięwzięcia byli zaangażowani Zbigniew i Zofia Romaszewscy, a pomagali i w różnym stopniu uczestniczyli w nim lekarze: Ewa Kunicka, Jerzy Siwiec (przewodniczący NSZZ „Solidarność” w szpitalu na Banacha, autor koncepcji odbicia), Andrzej Sankowski oraz Anna Gręziak. Ta spektakularna akcja wywołała

dużą frustrację wśród funkcjonariuszy SB. Porażka musiała być szczególnie dotkliwa w sytuacji, gdy MRKS był jedną ze struktur warszawskiej podziemnej „Solidarności” najzacieklej zwalczanych przez SB. Poniosła ona wówczas klęskę, zapewne niejedyną w latach osiemdziesiątych.

Po trzydziestu latach od wprowadzenia stanu wojennego warto przypomnieć tę spektakularną akcję przygotowaną przez podziemną „Solidarność”. Jedną z wielu udanych, które pokazywały społeczeństwu wówczas (i mogą uświadamiać to także dziś), że być pokonanym, a nie ulec – to zwycięstwo. Warto o tym pamiętać, wspominając odważne, a nawet brawurowe czyny członków „Solidarności”.

Poniższa relacja szefa grup specjalnych MRKS Adama Borowskiego o akcji odbicia Jana Naroźniaka jest częścią przygotowywanej przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej w Warszawie publikacji zawierającej nowe relacje uczestników MRKS, która ma się ukazać w roku 2012.

„Mam wrażenie, że pamiętam wszystko. Kiedy Janek został postrzelony, to pierwsza myśl była taka, żeby go uwolnić. Dowiedziałem się o tym z prasy, z bibuły. Nawet się kontaktowałem w tej sprawie z dr Wolak i dr Wysocką, z prośbą, żeby dała mi kontakt do lekarzy z Banacha. Chodziłem koło tej sprawy i wierzyłem, że to zrobimy. Niezależnie od tego przyszedł do mnie Jurek Bogumił i mówi: »Adam, chcesz brać udział w uwolnieniu Janka Naroźniaka?«. Ja mówię: »Jurek, przecież ja chodzę koło tego. Oczywiście, że chcę«. Jurek Siwec skontaktował się z Romaszewskimi. Romaszewscy poszli oczywiście do MRKS-u, do Jurka Bogumiła.

Koncepcja, sposób uwolnienia z Banacha, to była koncepcja Siwca. Spotkaliśmy się z Romaszewskimi i z Siwcem – ja i Jurek Bogumił. Siwec opowiedział, jak wygląda szpital, gdzie jest sala operacyjna, i że on będzie na sali. To wszystko, co się stało w dniu akcji, było wymyślone przez Siwca, który był tam lekarzem. On wiedział, co należy zrobić. Z tym że my z Jurkiem przeciwcyliśmy to na sucho, że tak powiem, parę dni wcześniej. Ja tam nawet dwa razy wchodziłem. Takie to były czasy, że można było. Jurek wszedł tylko raz, a ja wchodziłem dwa razy. Chciałem zobaczyć, jak się wchodzi. To jest tak, że jak człowiek, który nie umie chodzić po Amazonce, wejdzie do tego lasu, to albo go jakiś boa udusi, albo go jakieś piranie wpierniczą, bo wejdzie do wody, albo coś zaskoczy, tygrys czy jaguar, wąż ugryzie, bo nie umie się zachować. To samo jak dzikus, człowieka, który żyje wyłącznie w lesie, wpuści się do wielkiego miasta, to albo palec wsadzi gdzieś i jakiś prąd go zabije, albo na czerwonym świetle przejdzie i go samochód przejedzie. Człowiek się musi czuć w tym...

Ponieważ była taka możliwość, to musieliśmy ją przeciwżyć, musieliśmy czuć się swobodnie na oddziale operacyjnym. Bo jak wejdziemy na ten oddział operacyjny i nie będziemy się zachowywać swobodnie – jakbyśmy byli bywalcami tego oddziału – to pierwszy spotkany lekarz powie: »Co wy tu robicie?« albo »Czego chcecie?«. Nawet z dobrej woli. Jak się człowiek rozgląda, nie wie, co ma zrobić, to z dobrej woli ktoś zapyta: »Może coś potrzeba?« i człowiek nie będzie umiał odpowiedzieć, jak się tutaj znalazł. Poinstruował nas Siwec, jak powinniśmy się zachowywać – jak nas ktoś zaczepi, żebyśmy powiedzieli, że jesteśmy studentami dwunastej grupy itd.

Poinstruował, ale jednocześnie my musieliśmy tam wejść, zobaczyć, jak ta sala wygląda, żeby wiedzieć, skąd mamy go zabrać. Przecież my nie mogliśmy wejść i szukać, gdzie jest Janek Naroźniak. My musieliśmy wiedzieć, gdzie on zostanie położony. Więc tam weszliśmy, Siwec nas oprowadził.

Ale potem ja wchodziłem już sobie sam. Wszedłem na ten oddział, przeszedłem, wszedłem do tej służby, przebrałem się w zielone ciuchy, w ten zielony kitel, wszedłem na salę, obszedłem korytarze. Nikt mnie o nic nie pytał. Ja byłem tam dwa razy.

Robiliśmy to razem z Jurkiem, ale kierowcy, którzy byli nam do tego potrzebni, byli moi. Było dwóch kierowców. Jeden to był Mirek Radzikowski w tym Pogotowiu Sygnalizacyjnym, on był z Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Elektrycznych [wcześniejszego miejsca pracy ukrywającego się już Adama Borowskiego – T.R.]. A drugi to był Kaziu Hinz, jechał »beemwuszką«, bmw osobowym, chyba 813. Plan był taki, że jak uda nam się zjechać do podziemia z Jankiem Naroźniakiem jako trupem...

W bloku operacyjnym był taki długi korytarz pod ziemią, A jak się szło do prosektorium, to on był na poziomie ziemi. Tam nie było żadnych schodków, nie było nic, tylko po prostu poziom ziemi. Na szczęście przy tym długim korytarzu były pośrodku drzwi. Potem ten korytarz skręcał w prawo do prosektorium i przy samym prosektorium były drugie drzwi. Tak, żeby człowiek nie musiał – chcąc iść tylko do prosektorium z dworu, z tego dziedzińca – iść długim korytarzem. Korytarz dochodził do prosektorium i potem było wejście do niego, ale było również wyjście z korytarza na dwór.

My byliśmy tam o 9.00, bo wiedzieliśmy, że wtedy [Naroźniak] będzie przywieziony. Samochody stały oddzielnie, przyjechały oddzielnie; drugi samochód stał przed szpitalem. Gdy wyjeżdżaliśmy, ten samochód na chwilę zatrzymał się na takim wielkim parkingu przed szpitalem. Myśmy do niego wsiedli. Pierwsze jechało Pogotowie Sygnalizacyjne, a my jechaliśmy za tym samochodem. Zakładaliśmy, że jak będą nas gonić albo... Tak sobie wyobrażaliśmy. Gdyby się coś działo, czy spowodujemy jakiś wypadek, czy coś zablokujemy... Ja tylko mówiłem mu: »Nie pędź jak głupi, żeby cię policja nie zatrzymała«. Ale to było Pogotowie Sygnalizacyjne, więc mieliśmy taką nadzieję, że nikt go nie zatrzyma.

To było 7 czerwca. Od Siwca wiedzieliśmy, którą windą będą zjeżdżać i jak będą szli. Siedzieliśmy w takim miejscu, żeby widać było tę windę. I rzeczywiście zobaczyliśmy w pewnym momencie, że winda zatrzymuje się, wychodzi z tego czterech milicjantów i ubek. Myśmy tego dnia policzyli, że ich na wszystkich piętrach było dziewiętnastu, całkiem sporo. Czy oni wszyscy byli do Janka, tego nie wiem. W każdym razie milicjantów było dziewiętnastu. W mundurach. A ten jeden był ubekiem bez munduru. Kiedy już wiedzieliśmy, że Janek zjechał na operację, to wiedzieliśmy, że mamy jakieś dwie godziny. To było tak umówione, że to mniej więcej tyle będzie trwać.

Poszliśmy do barku, wzięliśmy chyba po herbacie. Nie jedliśmy tego dnia, żeby mieć puste żołądki. Teraz po latach można się z tego śmiać, ale faktem jest, że na ulicy strzelali do Janka, a my naczytaliśmy się tych akowskich książek... Jak do niego strzelali, to i do nas mogą strzelać. W związku z tym trzeba być przygotowanym i nic nie jeść. Więc nic nie jedliśmy. Wzięliśmy herbatę. Wchodzi ten ubek, który rozstawił tam tych milicjantów. Pączka sobie wziął, jeszcze tam coś. Uznaliśmy, że nie będziemy tutaj siedzieć, żeby nasze ryje mu się nie rzuciły w oczy. Poszliśmy sobie, położyliśmy, już na zewnątrz.

I weszliśmy na oddział. Jak szliśmy na ten blok operacyjny... Blok operacyjny to był taki oddzielny dom, do którego prowadziły tylko dwa łączniki, chyba na pierwszym piętrze. Szło się tymi łącznikami. Blok szpitalny – blok operacyjny. Na końcu łączników, przed wejściem na blok operacyjny, stało dwóch milicjantów. I po tej stronie dwóch milicjantów, w sumie czterech. Myśmy szli, opowiadając sobie – już nawet nie pamiętam konkretnej rozmowy – że będzie ciężki dzień, że operacja, że coś tam... Takie prozaiczne sprawy, żeby ci milicjanci myśleli, że rozmawiamy o medycynie, że będziemy uczestniczyć w jakiejś operacji albo w jakichś zabiegach.

POSZUKIWANIA NADZWYCZAJNE

telegram KGMO nr KR-VI-48/82



AIPN

NAROŻNIAK Jan Wojciech s. Eugeniusza ur. 27.12.1950 r. w Warszawie, zam. Warszawa, ul. A. Sokolich 6 m. 78.

Rysopis: wzrost 168 cm, szczupły, włosy ciemne, proste, oczy piwne, o wyraźnie skośnym ułożeniu, brak piątego palca u prawej ręki, rana postrzałowa prawego biodra.

List gończy rozestany po uwolnieniu Jana Narożniaka

Oni nas nie zaczepili. Przepuścili nas. Weszliśmy do służby i tam już przebraliśmy się w zielone kitle i weszliśmy na blok operacyjny. Operacja, mam takie wrażenie, przedłużała się. Musieliśmy troszkę tam pospacerować. Pospacerowaliśmy, wróciliśmy do łazienki, umyliśmy ręce. Już nie wychodziliśmy z tego bloku. Stała tam milicja i nie należało się rzucać w oczy. Potem znowu wróciliśmy do tego miejsca, gdzie oni się przebierają. Przedłużało się to. W pewnym momencie weszliśmy – jest Janek. Mieliśmy umówione hasło. Na Janka wszyscy, personel medyczny, mieli szczególne baczenie. Opiekowali się nim, żeby nic mu nie brakowało, żeby miał dobrą atmosferę. Baliśmy się, że jak wejdziemy go zabierać, to on np. powie: »Zostawcie mnie jeszcze trochę« albo personel medyczny stanie w jego obronie. W związku z tym z Jankiem mieliśmy umówione hasło, że podchodzimy do niego, żeby on wiedział, że to jest ten moment, i mówimy: »Przysłała nas doktor Romaszewski«. I my to wypowiedzieliśmy. Janek już wiedział, że to jest ten moment, że my go zabieramy.

On był przytomny, *de facto* miał przecież operację plastyczną na palec. Jadąc do windy, mijaliśmy ten łącznik, gdzie stało dwóch milicjantów. Baliśmy się, że oni zobaczą, że jedzie Janek, że go rozpoznają i pytają: »Gdzie go zabieracie?«. My mieliśmy legendę na to przygotowaną. Piętro niżej tam jest rentgen... Liczyliśmy się też z tym, że ten ubek może cały czas być przy Janku. Mieliśmy ze sobą taki gaz – jak wejdziemy do windy, jest nas dwóch, to tego ubeka tym gazem potraktujemy i może nam się uda tam go obezwładnić. Nie byłoby to dobre, bo sami byśmy tam padli, bo to malutka winda i jakbyśmy pojechali tym gazem, to i po

swoich oczach. Ale kiedy się to przygotowywało, to robiło się takie założenia, które w praktyce pewnie kompletnie by się nie sprawdziły. Należy się tylko cieszyć, że tego ubeka przy nim nie było, że na ten oddział operacyjny wpuścili go bez kontroli. Krótko mówiąc, nikogo tam nie było. My podeszliśmy, powiedzieliśmy, że przysyła nas doktor Romaszewski, i na łóżku, bo to było takie łóżko, zabraliśmy go z tej sali po operacji.

Był przytomny. Wjechaliśmy do przygotowanego, pustego pokoju. To był taki pokoiik, niezależny, gdzie stał wózek. Bo on leżał na łóżku i z tym łóżkiem miał jechać na swoją salę szpitalną, pooperacyjną, już na blok szpitalny. Miał jechać na łóżku. W szpitalu są łóżka na kółkach i wózki na kółkach. Wózkami się wozi właśnie trupy i wózkami się również wozi pacjentów na badania. My nazywamy to wózek, dlatego że to jest węższe niż łóżko. Łóżko to ma materac, też jest na kółkach. Natomiast to jest węższe. Tego używają na izbach przyjęć, takich bardziej manewrowych łóżek. Tam też są materace, ale zupełnie inne. Na łóżkach są materace normalne. Grube, człowiek leży i nie ma odleżyn. Natomiast na wózkach są materace takie gumowe, że jak tam człowiek ma mokro, ścierką się wyciera. Szybko można zetrzeć itd. Tam się nie wymienia prześcieradeł. Na tym dłużej leżeć nie można, bo by się człowiekowi odleżyny porobiły. Natomiast można człowieka przewieźć.

I myśmy przełożyli go z łóżka na to. A pod tym gumowym materacem były białe kitle, bo my byliśmy w zielonych kitlach. Założenie było takie, które się sprawdziło, że my, jak wjedziemy do drzwi windy, to windę zatrzymamy na półpiętrze, zdejmujemy swoje zielone kitle. Wyjeliśmy spod tego materaca przygotowane przez doktora Siwca białe kitle, nałożyliśmy. Bo w zielonych człowiek chodzi wyłącznie na terenie bloku operacyjnego. Natomiast poza blokiem operacyjnym chodzi w białych. My, wywożąc Janka jako trupa, powinniśmy być w białych kitlach. Przebraliśmy się, a te zielone kitle zostawiliśmy w windzie i one zostały zabrane potem przez doktora Siwca, żeby śladu nie zostało.

Narożniak był już w windzie, na wózku. Zatrzymaliśmy windę, przebraliśmy się. Już zjechaliśmy do tych podziemi, wyjechaliśmy z zakrytym Jankiem jako trupem.

Jedziemy z Jankiem przykrytym prześcieradłem, ja pokazałem się w tych pierwszych drzwiach i ręką dałem znak kierowcy. On stał swoim samochodem naprzeciw tych pierwszych drzwi, nie przy prosektorium, i patrzył na drzwi. Dałem mu znak ręką. On miał odwrócić samochód i tyłem podjechać pod te drugie drzwi, chodziło o to, żeby za długo pod nimi nie stał. Rozpoczął wykonywanie manewrów, my dalej szliśmy z tym Jankiem, skręciliśmy korytarzem w prawo do prosektorium. Jak dojeżdżaliśmy do tych drugich drzwi, to on w tym momencie cofał już, był przy samych drzwiach i otwierał tylne drzwi nyski. My momentalnie przerzuciliśmy Janka do nyski. Zamknęliśmy drzwi i ruszyliśmy. Na tym wielkim parkingu, gdzie stało dużo samochodów, przesiadliśmy się do bmw i pojechaliśmy na wcześniej umówione miejsce na Żoliborzu. Zapomniałem ulicy teraz [ul. Staffa – T.R.]. Dom był wolno stojący. Problem polegał na tym, że ten dom wolno stojący nie miał wjazdu dla samochodu. Musieliśmy przenieść Janka obleczonego w koc. Była piękna pogoda i na balkonach stali ludzie. Bardzo się bałem, że oni zwyczajnie doniosą, że tu człowieka się wynosi. A mój kolega mi mówił: »Adam, teraz meble się śmieciarkami przewozi. Naprawdę, nikt nie zwróci uwagi. Ty z Pogotowia Sygnalizacyjnego wyciągnąłeś człowieka pod pachą i też nikt nie zwróci uwagi«. I to okazało się prawdą.

On w tym mieszkaniu był jeszcze ze trzy miesiące. Mimo że tych ludzi na balkonach stało strasznie dużo, nikt nie doniósł”.